NA OKAZ.

Kołomyja dnia 11. lutego 1877. Rok I.

OGNIWO

...i co drugą niedzielę. Przedpłata wynosi tak w miejscu jak i z przesyłką pocztową rocznie 5 złr., półrocznie 2 złr. 50 cnt., kwartalnie 1 złr. 30 cnt.

Prenumeratę prosimy nadsyłać do Administracyi „OGNIWA,“ księgarnia H. Zadembskiego, gdzie się także znajduje skład główny dla prenumeratorów miejscowych.

dwutygodnik literacki, naukowy i społeczny.

Wydawca: HENRYK MACHNICKI. Odpowiedzialny redaktor: STANISŁAW TOKARSKI.

SŁOWO DO CZYTELNIKÓW!

W obec ruchu, jaki ostatnimi czasy objawił się na polu literackiém, w obec prawie równoczesnego powstania dwu takich pism jak „Tydzień“ i „Ruch literacki,“ prowincya dotąd jeszcze pozostaje w uspieniu, powtarzamy w uspieniu, bo zaledwie po kilkanaście egzemplarzy obu pism wymienionych powyżéj, dochodzi do każdego większego prowincyonalnego miasta. I gdzież szukać przyczyny tego? Zdaje nam się, że łatwo ją odgadnąć w obec coraz straszliwszéj na każdym kroku spotykanéj ruiny materyalnéj. Dwa tylko krańcowe punkta położenia finansowago są dziś reprezentowane w narodzie: majątek i walka o byt, w obec których klasa zamożnych znikła prawie zupełnie. Sądzimy, że pierwszą klasę t. j. ludzi majętnych każde wydawnictwo, jeżeli nie przeciw sobie, to najwyżéj obojętną mieć musi, w obec prądu materyalnego, jaki z małemi wyjątkami takową ogarnia. Pozostaje więc nieliczna klasa zamożnych i najliczniéj reprezentowana klasa walczących o byt, z których pierwsza wspiera każde narodowe wydawnictwo, druga zaś prócz życzliwości nic ofiarować nie może. Jest że tedy możliwém przy takich warunkach utrzymanie jakiegokolwiek wydawnictwa?

Wiedzieliśmy i wiemy też prawie na pewne, że do nie równéj walki stajemy, a zwłaszcza w prowincyonalném mieście, gdzie przy licznéj, wykazanéj powyżéj trzeciéj kategoryi ludności, mamy do pokonania prawie ogólną apatyę. Nie chcemy się odwoływać do prospektu, wykazaliśmy tam nasz program, naszę wiarę, silną wolę i zasób do walki; dziś tylko przy narodzinach naszego „Ogniwa,“ które ma nas wszystkich do wspólnéj pracy i spólnego celu połączyć — słowy kilku jeszcze odzywamy się do Szanownych czytelników.

Wskazaliśmy powyżéj na jak kruchych podstawach opiera się dzisiaj każde wydawnictwo; staraliśmy się wykazać, co jest przyczyną tego, jednakże choćby i w najopłakańszém położeniu materyalném człowiek nie powinien pozbawiać się pokarmu duchowego, gdyż ten tylko jest w stanie podtrzymać w nim siłę do walki, ten tylko jest w stanie wlać w niego ożywcze ciepło w obec zimnych i twardych stosunków na zewnątrz. Trochę więcéj zapału, o cały stopień więcéj jedności, a zadanie życia nie wyda nam się tak straszne do spełnienia, zwłaszcza w obecnéj chwili dziejowego przesilenia. Łączmy się razem sercem i duchem, łączmy naszę pracę, a w obec i najstraszliwszéj walki koniec musi być zwycięstwem.

Bo zawsze z wspólnego sił ludzkich rozwicia,
Wykwita bujny, istotny kwiat życia!

Wszystkim więc tym, którzy zdanie nasze podzielają, idziemy w pomoc. Zadaniem „Ogniwa“ będzie połączyć nas wszystkich moralnie, wskazać rzetelny kierunek pracy dla ogółu, wykazując braki i niedostatki w urządzeniu społeczném. Dla wszystkich jesteśmy przystępni, którzy z nami ręka w rękę kroczyć zechcą. Ustanowiliśmy tak niską prenumeratę na “Ogniwo,“ że najbiedniejszy nawet wyrobnik połączyć się z nami może. Jak spełnimy nasze zadanie, i jakie poparcie zyskamy tak w naszém mieście jak i w kraju, przyszłość pokaże; tych parę słów atoli uważaliśmy za stósowne na czele pierwszego numeru naszego pisma wypowiedzieć.

POKREWNI CELEM

powieść współczesna

przez

W. A. I.

Tęskny, cichy, jesienny osiadł wieczór dokoła; szarą barwą powlókł całą okolicę, po nad którą srebrny krzyż cerkiewny świecił ostanimi promieniami zachodzącego słońca. Wieczór jesienny, wieczór cichy śród drzemiącego lasu, o ileż wspomnień, ileż pragnień budzi w sercu. Każdy zeschły listek, co ledwie z dosłyszalnym szelestem pada ziemię, kazda nuta niedokończonéj pieśni dolatująca z daleka, osiadająca pomroka i srebrna gwiazdka na niebie, jakąż tęskną rozkoszą napełnia serce, jakiém wspomnieniem budzi duszę, jaką potęgą wdraża się w umysł. Podolska jesieni, tyś jedna zdolna ukołysać duszę, ty jedna cicha, tęskna i malownicza zostawiasz wspomnienie serdecznéj lubości. Zwątpiałą duszę, rozdarte bolem lub przesycone życiem serca, ty jedna umocnić, wlać pociechę i obudzić jesteś wstanie. Widziałem cię, pojąłem, tęsknię za tobą, a serce wspomnieniem twojego uroku śród zimnych więzów świata, tętni wiarą i miłością.

Tęskny, cichy jesienny osiadł wieczór dokoła. Drożyną leśną, śród wybojów i pni sterczących posuwał się zwolna wózek zaprzężony chudym konikiem. Wózek był obłocony, chociaż błota nigdzie widać nie było, a i obie osoby siedzące na wózku nie harmoniowały z otaczającą je przyrodą. Ta co z tyłu siedzenia w pół stojąc rzucała spojrzeniem dokoła, ubrana była w chałat wypłowiały i kapelusz, który nie jednego już właściciela mieć musiał.

Ruda broda, co chwila targana była zżłokłą ręką, a z ust wylatywałe wyrazy: Prędzéj, prędzéj Iwane.

— Dobrze wam prędzéj, odpowiadał każdą razą głos drugi — droga niech matka boska przemieni, jeszcze można gdzie wózek połamać i guza oberwać.

— A daleko jeszcze do wsi, pytał właściciel chałatu.

— Za tym pagórkiem zjedziemy na dół, a tam już jak w domu.

Żyd kilka razy poruszył głową, co miało oznaczać jego niecierpliwość i mrucząc targał znowu swą rudą brodę. Woźnica, chłopek już nie młody, popędzał tymczasem swego konika, zapalał co chwila fajkę i milczał. Tymczasem zjechano z pagórka, a biedna zmęczona szkapa czując blizki wypoczynek ruszyła raźniéj do wsi. Leśna drożyna skończyła się, wjechano na szérszą drogę, noc już jednak dobra zapadła, gdy wózek zatrzymał się przed karczmą.

— Już ? zapytał żyd.

— Tutaj karczma, odpowiedział chłopek, tylko szelma arendarz nie chce wódki dawać na kredyt. Ot panie Berku zapłacilibyście kwatereczkę.

— Aj waj ! co znowu, czyż ja wam niedał dwa szóstaki ?

— Co z tego, rzekł chłop kiwając głową, tamto poszło, wszak sami widzieliście.

— Co mnie do tego, mruknął Berko odchodząc, było pierwéj nie pić, to bylibyście teraz mieli czém zapłacić.

— Choć pół kwaterki, wołał Iwan idąc za nim.

Berko się fukał, pomimo to jednak Iwan wszedł za nim do karczmy, uwiązawszy wprzód konia do płota i rzuciwszy mu wiązkę słomy.

Zaledwie za oboma drzwi się zamknęły, głośne ujadanie psów i turkut, zwiastowałe, że tą samą drogą, po której przed chwilą toczył się wózek, ktoś prędko nadjeżdża. I rzeczywiście po kilku chwilach nadleciał elegancki powozik zaprzężony dzielną jak się zdawało parą koni. W rozpędzie minął jednak karczmę, lecz o kilka sążni dalej został wstrzymamy. Na tak głośny turkut wyleciała z karczmy cała czereda, arendarz Lejba, żona [illegible] dzieci, kilku chłopów, a między ostatnimi Ber[illegible] i Iwan. L[illegible]egł aż do powozu, z którego właśnie wysiad[illegible]kiś mężczyzn[illegible]ijął jarmułkę i zaczął kłaniać się nisko. Lejba wiedział kto nadjechał pomimo nocy dość już ciemnéj. Był to właściciel wioski, do któréj karczma należała, p. Adam Przewrotnicki. Ponieważ go bliżéj znamy, więc pomimo nocy opiszemy jego fizyonomyą. Był to mężczyzna słuszny, barczysty, lat około trzydziestu, z chorobliwą jednak cerą na twarzy i przygasłém spojrzeniem w oku. Starannie ogolony nosił maleńki wąsik płowéj barwy przy ciemno blond włosach. Pan Adam był właścicielem wsi, kawalerem, a mieszkał razem z matką, o któréj mówiono, że po śmierci zostawi synowi ładny kapitalik. Tyle wiemy o panu Adamie, który zresztą niedawno wrócił z zagranicy, gdzie bawił, jak sam opowiadał, przez lat pięć, dla towarzystwa chorego stryja. Powróciwszy objął wieś na własną rękę, porobił wizyty w sąsiedztwie, a zdawszy gospodarkę na ekonoma, polował, grał w karty i wydawał pieniądze.

— Jest? krzyknął p. Adam do kłaniającego się arendarza.

— Jest, pros[illegible] pana, odpowiedział Lejba.

— Gdzie ?

— Tu ! odparł lakonicznie żyd.

— W jarmułce ? krzyknął jeszcze głośniéj p. Adam.

— W karczmie, odparł żyd flegmatycznie.

Pan Adam zwrócił się ku karczmie, skąd już podążał Berko zaintrygowany głośną rozmową do powozu. W pół drogi zdybali się. Swiatło z okna karczemnego oświecało ich, p. Adam był lekko blady, Berko uśmiechał się.

— Sługa Jaśnie pana, przemówił Berko.

— Przecież jesteś ! wyrzucił pan Adam.

— Jaśny Pan na mnie czekał?

— Umyślnie dziś jeździłem za tobą,

— Aj waj ! chwycił się Berko za brodę, byłbym nie wydał trzech guldenów za furę.

— Chodź, siadaj ze mną do powozu, pojedziemy.

I pociągnął p. Adam Berka za sobą, [illegible] turkot zwiastował, że powóz pomknął dalej.

Arendarz wrócił do karczmy, za nim i inn[illegible] kiem; jeden tylko Iwan pozostał na dworze, pods[illegible] a klnąc na Berka, odpiął konia, rzucił nie dogryzio[illegible] koziołek i ruszył zwolna tą samą drogą, po któréj się p[illegible] powóz p. Adama potoczył.

(C. d. n.)

DO WSPÓŁZIOMKÓW.

Miłość Ojczyzny ! — to łańcuch złoty,
Co nasze duszy zespolił,
Cudnego blasku, cudnéj roboty !
Polską on ziemię okolił.
Serce ze sercem — dłoń związał z dłonią —
Potrójnym węzłem okręcił,
Na nim pieczęcią : orzeł z pogonią,
Którą sam Stwórca poświęcił.

Pięknyż to łańcuch — ziomkowie mili,
Powinien przetrwać bez klęski —
Choć go rozerwać wróg się nasz sili,
Podnosząc oręż ciemięzki.....
Choć nań czyhają duchy zagłady,
Choć szepce widmo pamięci,
Że rwał się nieraz, że plamy zdrady
Rdzą jego świętéj pieczęci.

Boleśna prawda !.... lecz kto ją czuje,
Temu ratunek nie trudny,
Zbada przyczynę, co skrycie psuje —
Rozprzęga łańcuch ten cudny.
Co przez lat tyle wiązane pilnie,
Zdradziecką dłonią rozrywa ?
Och ! zgadną bracia.... zgadną niemylnie :
Brakło jednego ogniwa.....

Gdzieś go, i kiedy Polsko zgubiła ?.....
Zaprawdę — ciężkie pytanie —
Od téj mogiły, co dziś Cię skryła,
Aż w chwały zgasłéj zaranie,
Gdybyś wspomnieniem łzawém pobiegła
Aż w dnie minionéj wielkości,
W jasnéj téj drodze czybyś dostrzegła
Twego ogniwa jedności ?.....

Przy roztruchanie — przy szabel błysku —
Z odgłosem hucznéj kapeli,
Synowie Twoi w bratnim uścisku
Krótką go chwilę widzieli.....
Lecz gdy „kochajmy się“ ścichło, zwolna
Powstała pycha — prywata —
Taż sama ręka wnet była zdolna,
Godzić w tęż samę pierś brata !.....

Nie czas już dzisiaj sądzić Cię wdowo —
I matko umarłych dzieci.....
Gdy nad Twą bladą — skrwawioną głową
Korona męczeńska świéci.....
Nie czas Cię ścigać w drodze krzyżowéj,
Jak kruków głosy złowieszcze —
Lecz płynącemi ze serca słowy
Prosić : o Polsko ! czas jeszcze.

Jednéj są pracy obfite plony :
Wspólnemi podjętéj siły.
Od lat już tylu nasze zagony
Cóż prócz piołunów zrodziły ?.....

Od lat już tylu łez ciężkich rosa —
Pot krwawy — skrapia tę ziemię.....
A czemuż milczą chmurne niebiosa
Nieszczęść nie zmiejsza się brzemię?.....

O! bo my zawsze, my zawsze jedni,
Niepomni strasznéj przestrogi —
My zaślepieni, ciemni i biedni,
W różne rozbiegli się drogi.....
I jak przy słynnéj wieży Babelu,
Przy naszéj Polski budowie,
Nie możem pojąć wspólnego celu —
I burzym dzieło w połowie.....

Hej! ręka w rękę — czas ostateczny
Nawiązać łańcuch nasz złoty,
Silném ogniwém jedności wiecznéj.
Pod hasłem prawdy i cnoty —
Wspólnie do dzieła! ciałem i duchem
A chętném sercem — a żywo!
Stańmy się jednym zgody łańcuchem,
A spójnią będzie „Ogniwo.“

Marja B.

Pogląd na życie i pisma
ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

napisał

WINCENTY STROKA.

Jak duch Boży objawił się w przyrodzie i mądrość odwieczna przegląda przez wszystkie jej twory — tak duch ludzki najdokładniéj odbija się w sztukach pięknych, a przedewszystkiém w poezyi. Płynąc z najgłębszych tajników duszy, poezya najwierniéj odźwierciedla nam stan duszy autora, a pośrednio stan ducha narodowego, świadcząc o jego potędze i zdrowiu albo też o jego chorobliwości i upadku. Stan literatury, przedewszystkiém poetycznéj, jest przeto probierczym kamieniem zdrowia i żywotności narodu. Z tego względu literatura polska z pierwszéj połowy 19. stulecia zasługuje na szczególniejszą uwagę i pozostanie na zawsze ciekawém zjawiskiem dla badacza dziejów literatury i oświaty nietylko polskiéj, ale w ogóle europejskiéj.

Twierdzenie to wyda nam się zupełnie uzasadnioném, skoro uprzytomnimy sobie warunki, śród których poezya owa rozkwitła, tak różne od warunków, pod którymi rozwijały się literatury innych narodów. Bo oto, kiedy u Greków kulminacyjny punkt poezyi przypada w czasy największego powodzenia w wojnach perskich, kiedy w Rzymie tuli się ona pod opiekuńcze skrzydła Augusta, kiedy pierwszy rozkwit ludowéj i dworskiéj poezyi niemieckiéj w 12. i 13. stuleciu w parze idzie ze znakomitym rozwojem potęgi państwowéj, kiedy epoka Ludwika XIV. wydała klasyków francuskich, a prąd patryotyczny, który po zwycięženiu armady Filipa hiszpańskiego powiał po mglistych ziemiach Albionu, ukołysał i wypiastował Szekspira — kiedy krótko mówiąc, wszędzie rozwój literatury odpowiadał rozwojowi potęgi politycznéj narodu — u nas rzecz się ma wcale inaczéj i właśnie w chwili politycznego narodu upadku, w chwili, kiedy nawet wszelkie usiłowania odzyskania bytu niezawisłego po klęskach Napoleona I. okazały się zupełnie płonnemi — poezya polska, skoro przeminęły pierwsze lata boleści i przerażenia, głośno i coraz głośniéj rozbrzmiewać zaczęła i stąpiwszy do najtajniejszych głębin ducha narodowego, wyprowadziła na jaw kreacye, mogące godnie stanąć obok najwspanialszych utworów wszech narodów.

I oto zaledwie Brodziński cichym, ale serdecznym i rzewnym głosem zanucił pierwszą pieśń z serca narodu dobytą, a wieszcz litewski odezwał się głosem gromu, którego echo odbiło się w najodleglejszych zakątkach ojczyzny — aliści w ślad za nimi niezliczeni niemal powstają poeci, którzy bądź utartymi przez nich idą tory, bądź nowych dróg dla siebie szukają i kojąc rany narodu, podtrzymując jego wiarę i nadzieję, budząc miłość i ducha poświęcenia, rozświecają drogę, po któréj stąpać mu należy, ażeby doszedł do wysokich przeznaczeń, zakreślonych mu przez opatrzność. Malczewski, Goszczyński, Zaleski, Korzeniowski, Fredro, że już nie wspomnę naśladowców, zawtórzyli wnet Mickiewiczowi, a w ślad za nimi ozwali się Pol, Słowacki, Kraszewski i Krasiński i ruch ten raz obudzony, oparł się aż o dni nasze, znalazłszy za naszych czasów w Kondratowiczu, Ujejskim, Lenartowiczu, Siemieńskim, Romanowskim, Szujskim, Asnyku i innych ostatnich swych przedstawicieli.

Zjawisko to świadczy o niespożytym duchu narodu, który z łona swego tylu wydał pracowników, tyle talentów niepospolitych, a nawet jeniuszów pierwszorzędnéj wielkości, natchnionych jedną przewodnią ideą — ideą miłości ojczyzny i poświęcenia się dla niéj, ale w zupełnie samoistny sposób dążących do jéj urzeczywistnienia.

Jedno z najwybitniejszych stanowisk w tém gronie poetów polskich zajmuje bez wątpienia Zygmunt Krasiński. Urodzony dnia 19. lutego r. 1812. w Paryżu, potomek znakomitego i dobrze w dziejach ojczyzny zasłużonego rodu, syn pułkownika napoleońskiego Wincentego Krasińskiego i Maryi z domu Radziwiłłówny, posiadał Zygmunt wszelkie warunki do jak najwszechstronniejszego rozwoju znakomitych zdolności, w które go opatrzność hojnie uposażyła, a nauczyciele tacy jak Korzeniowski w jak najodpowiedniejszy sposób rozwijali.

Także i z całego otoczenia w domu rodzicielskim, gdzie zbierał się kwiat ówczesnego społeczeństwa warszawskiego i ze szkół publicznych, do których uczęszczał, najprzód lycealnych potém uniwersyteckich, wyniósł Krasiński najkorzystniejsze wrażenia i wzbogacił ducha swego cennemi wiadomościami, które rokowały mu najświetniejszą karyerę w służbie publicznéj. Wtedy jednakże zaszły dwa wypadki w rodzinie Krasińskich, które zupełnie inny kierunek nadały całemu życiu i działaniu Zygmunta. W sądzie sejmowym, który w Warszawie r. 1828. pod laską marszałka Bielińskiego wyrokował w sprawie politycznych przestępstw młodzieży polskiéj, obok uniewinniających głosów wszystkich sędziów, znalazł się jeden potępiający głos, oddany przez starego Krasińskiego. — Głos ten będący wypływem raczéj wygórowanego może pojęcia o sprawiedliwości niżeli przekonań antinarodowych, pozbawił przecież od razu wszelkiéj wziętości byłego napoleońskiego żołnierza i sprawił zarazem to, że i na syna koledzy szkolni krzywém odtąd okiem patrzéć zaczęli. W rok może po tym wypadku zdarzyło się, iż umarł ów prezes sądu sejmowego senator Bieliński i mieszkańcy Warszawy w sposób demonstracyjny oddali mu cześć swą na pogrzebie.

Przewidując to władza akademicka, zakazała surowo słuchaczom uniwersytetu opuszczać w dniu owym wykłady i udawać się na ten pogrzeb. Wezwaniu temu oparła się atoli młodzież uniwersytecka i nikt niepojawił się na kolegiach, prócz jednego Zygmunta Krasińskiego, który może z woli ojca, a może z poczucia obowiązku posłuszeństwa winnego władzy szkolnéj, przybył do sali i sam jeden przysłuchiwał się wykładom profesora. Krok ten wytłómaczono sobie jako urąganie się z opinii całego narodu i któryś z zapaleńszych kolegów nazajutrz przy wejściu do kolegium zniewažył Zygmunta jako mniemanego odstępcę narodowego. Obelga ta była jakoby namaszczeniem na ciernistą drogę żywota, która się odtąd otwarła przed poetą. Opuścił on r. 1829. kraj rodzinny i resztę życia przepędził na dobrowolném wygnaniu za granicą. Najprzód udał się do Genewy dla dokończenia nauk, gdzie poznał się z Adamem Mickiewiczem, a potém do Rzymu, gdzie powtórnie zeszedł się z tym księżęciem poetów naszych, którego potężna osobistość wielki wpływ wywarła na rozbudzenie jego talentu. Po dwu latach pobytu za granicą powrócił Krasiński na czas krótki do Warszawy, skąd wyprawiono go nawet do Petersburga; ale niebezpieczna choroba oczu wyjednała mu wnet swobodny wyjazd z kraju, tak pożądany dla poety, który tyle miał do powiedzenia

narodowi, a który w kraju pod rządem rosyjskim skazany by musiał być na milczenie.

Przyszedłszy do zdrowia w Grefenbergu, zamieszkał najprzód czas jakiś we Wiedniu, a potém w Rzymie, gdzie poznał się z Juliuszem Słowackim.

W r. 1838. po raz wtóry udał się do Warszawy, ale stan zdrowia nadwątlonego w skutek moralnych cierpień już od czasu upadku listopadowego powstania, zmusił go znowu do rychłego wyjazdu do Włoch. W następnych latach był jeszcze kilka razy w Warszawie, tudzież w posiadłościach rodziców Knyszynie i Opinogórze; atoli pomimo łatwości uzyskania pozwolenia na ciągły pobyt w kraju — przebywał stale za granicą, przepędzając zimę we Włoszech, gdzie r. 1847. po raz trzeci spotkał się z Mickiewiczem — a wiosnę i lato w kąpielowych miejscach nadmorskich lub w Niemczech, jak w Kissingen, Baden, Ems albo też, gdy zdrowie służyło w Paryżu, Wiedniu, Hejdelbergu, Dreźnie lub inném jakiém ze znaczniejszych miast niemieckich. R. 1843. pojął Krasiński za żonę hr. Elżbietę Branicką i miał z nią kilkoro dzieci. Zdrowie jego polepszało się niekiedy, atoli r. 1855. zapadł znów mocniéj na piersi. W roku następnym ojciec jego mianowany został namiestnikiem królestwa polskiego i rzetelnemi usiłowaniami około dobra kraju odzyskał dawną, utraconą niegdyś życzliwość współziomków. Wypadek ten niewypowiedzianą radością napełnił duszę Zygmunta; całe życie bowiem bolał on nad fałszywém położeniem ojca, któremu nawet w r. 1830. nie dozwolono się zrehabilitować, a którego on mimo to kochał całą siłą gorącego serca. Radość ta jednak zbyt silnie wstrząsnęła wątłym organizmem poety; r. 1858 zachorował ciężéj niż kiedykolwiek, a kąpiele w Plombiéres i Ems nie wiele mu pomogły. Na zimę zjechał do Paryża, aby potém z wiosną udać się do Algieru; tymczasem jednak umarł mu ojciec, a wiadomość o jego zgonie była dla Zygmunta zabójczą i czysty duch jego opuścił ziemię dnia 24. lutego 1859. r.

Rozpatrując się w dziełach Zygmunta Krasińskiego, każdy nawet najbardziéj stronniczy przeciwnik jego zasad uznać musi koniecznie z jednéj strony ich czystość i nieskazitelność, z drugiéj niezwykłość i oryginalność jego pomysłów.

Nie wszystkie jednak dzieła Krasińskiego noszą na sobie ten głęboki charakter, a mianowicie nie mają go pierwsze jego młodzieńcze utwory, napisane jeszcze po części na ławie szkolnéj. Mam tu na myśli przedewszystkiém dwie jego powieści, a mianowicie „Grób rodziny Reichstallów“ i „Władysław Herman i dwór jego,“ z których drugi napisany był wspólce z Dominikiem Magnuszewskim i Konstantym Gaszyńskim. Powiastki te utworzone pod wpływem będącego podówczas w modzie Walterskotyzmu nie mają wcale tego znaczenia, co inne utwory Krasińskiego i niewywarły w swoim czasie żadnego prawie wrażenia; a i dziś téż zazwyczaj pomijane bywają w zbiorowych wydaniach pism jego. Tego samego charakteru była może i późniejsza nieco, bo już w Genewie napisana, lecz potém zaginiona powieść pod tytułem „Zawisza Czarny.“ Wnosić to można stąd, że nawet czwarty jego utwor „Agaj-Han, choć może pod względem formy udatniejszy niż tamte, nie inny jednak nosi charakter. Wątek doń wzięty jest z dziejów Dymitra Samozwańca i Maryny Mniszchówny, na których tle z wielką siłą przedstawiona jest namiętna miłość Tatarzyna do byłéj carowéj i tragiczna śmierć ich obojga śród rozhukanych fal krami lodu okrytego Jaiku. — Utwór ten mimo zalet, jakie posiada, niedotyka jednak żadnéj głębszéj struny życia narodowego, nie kusi się o rozwiązanie wielkich zagadek życia ludzkości i obudza jedynie artystyczny interes. Wiadomo nawet, że Krasiński, żałował późniéj wydania téj powieści.

Następne utwory natomiast z innéj zupełnie strony przedstawiają nam wielkiego jego ducha. Duch to arcypoważny, proroczy — a te późniejsze dzieła jego tchną najczystszą miłością Boga i ojczyzny, a zarazem tak głębokiém wniknięciem w filozoficzne znaczenie dziejów i przyrody, że nieraz zaledwie z trudnością zdołamy podążyć w ślad za nim w sfery, w które unosi go jego natchnienie. Mimo pewnéj tęskności, co jakby mgłą smutku powlokła wszystkie jego utwory, jaśnieje z nich jednak spokój, którego dobił się pracą ducha, świadczący wymownie, że boleści ciała i cierpienia ducha, śmierć rodziców i przyjaciół, wspaniałość przyrody, krwawe i łzawe dzieje ludzkości — nie prześliznęły mu się z lekka mimo duszy, ale wcześnie wyrywając umysł jego z koła dziecinnych igraszek, nauczyły go patrzeć trzeźwo i poważnie na świata tego zjawiska, nauczyły go szukać prawdy, kochać ją, gardzić błyskotkami i umieć wyrzec się tego, co błahe, co znikome, a co nas samo kiedyś opuści.

Głębokiém cierpieniem Krasiński wcześnie urósł na męża; to też w wieku, w którym inni uganiają się za lekką zabawą i rozkoszą, marzą o szczęściu ziemskiém lub kwilą nam o swéj tęsknocie miłośnéj albo też klecą ckliwe wiersze do księżyca — on zajmował się najważniejszemi zagadnieniami ludzkości. On wcześnie zadał sobie pytanie, którego niejeden sobie niezadaje, choć siwizna już przyprószyła mu włosy, choć siedmdziesiąt zim przeszumiało mu po nad głową — na próżno, jak mówi poeta w Nocy Letniéj, bo nie poznał tajemnicy życia. — Ale Zygmunt nie poszedł tą drogą; on wcześnie — powtarzam — zapytał sam siebie, po co żyje, co znaczy, jaki cel ma ten szereg dni pogodnych, przeplatanych burzą nieszczęścia, kończący się grobową ciszą za bramą cmentarza — co znaczy ten świat zjawisk przyrody, która nas tuli do czasu jak matka na łonie swojém, tysiące wdzięków swych roztaczając przed nami — co znaczy życie tylu żyjących z nami, podobnych nam ludzi, wijących się od wieków na powierzchni tego planety, kochających się między sobą lub mordujących nawzajem, przesuwających się przez krótką chwilę jak figurki w jasełkach po téj ziemi, by zniknąć na zawsze w toni zapomnienia — do czego dążą, jaki cel mają cierpienia stateczne cnotliwych, gwałty, rabunki i mordy przez mocniejszych łotrów popełniane na słabych, a wszystko to powtarzające się przez wieki przed nami i teraz przed oczyma naszemi i daléj powtarzać się mające wtedy, kiedy — jak mówi inny poeta — wicher świata po naszéj szumieć będzie mogile.

Wszystkie te zagadnienia głęboko zajmowały Krasińskiego; obejmując rozległym swym umysłem całość tych pojawów, zapytał on siebie, co jest? co to wszystko znaczy? Jest że w tém, co jest, wszystko dobre i piękne? jest że takiém, jakiém być powinno?— a jeżeli nie jest, to gdzie szukać lekarstwa na te moralne choroby ludzkości? gdzie szukać zbawczéj prawdy, któraby ludzkość wyzwoliła z cierpienia i ucisku zbrodni, któraby każdemu osobnikowi dała ukojenie wewnętrzne i pozwoliła z pogodą czoła i uśmiechem na ustach, a z wiarą w lepszą przyszłość przebyć te krótkie chwile życia przeznaczonego nam na téj ziemi i ze spokojem położyć głowę na śmiertelnéj pościeli?

Ależ na to — rzecze nie jeden — odpowiedziano już przed niespełna dwoma tysiącami lat, a odpowiedź dał Ten, który ją stwierdził bolesną śmiercią swą na drzewie krzyża świętego — a odpowiedź tę dają nam codzień, głosiciele jego nauki — potrzeba tylko gorącéj wiary, silnéj nadziei i miłości, a wszystko będzie dobrze.

Odpowiedź bardzo trafna i Krasiński nie mógł nam dać innéj, ale dał nam ją w inny cokolwiek, nie tak krótki i pojedyńczy sposób, a dał ją najprzód w znakomitym utworze, który pod tytułem Nieboska Komedya, wyszedł bezimiennie r. 1834. w Paryżu i od razu wysoko postawił nieznajomego autora, a któremu wnet potém i Mickiewicz w wykładach o literaturze słowiańskiéj w Paryżu głębokie przyznał znaczenie.

Wszelką ideę dwojako można udzielić drugim, raz wprost, sposobem oderwanym, w którym to jednak razie idea jako dusza bez ciała nie wszystkim będzie dostępną i zrozumiałą, — albo znów przedstawić ją można przyobleczoną w sukienkę widomą, kształty zmysłowe, cielesne, jako postać promieniejącą blaskiem téj idei — jako ideał. Pierwszy sposób przedstawienia idei jest rzeczą filozofów, drugi właściwy sztukom pięknym, a zatém i poezyi. Obydwa sposoby mogą trafić do celu, zbliżyć nas do Boga, jako źródła wszelkiego życia, dobra, piękna i prawdy — ale poezya działając nie tylko na rozum nasz jak filozofia, ale zarazem na serce i wyobraźnią, prędzéj i łatwiéj trafiać zwykła do celu. To

Starsze panie utyskiwały. „Lecz już niedaleko mameczko,“ srebrny ozwał się głosik. „A Mileczko moja, wam młodym zawsze niedaleko już.“ Pan N. pot otarł kroplisty..... Stanęli u kresu. Panienki zaraz się rozbiegły, pierwsze zaczerpnęły wody blaszaną czarką, pomodliły się w kapliczce.

W przedsionku cerkwi były napisy na czarnym marmurze złotemi literami po polsku, podające dzień, rok urodzenia i śmierci członków familji Mokrańskich, dawniejszych dziedziców Kreszczatyka, bo dziś on własnością żydów.

Smutna rzecz zaiste!.... Czy nas do szczętu z absorbują obce żywioły?.... Lecz śpieszmy do naszego grona, znajomych, co usiadłszy w około kamiennego stolika, smaczno spożywali swój podwieczorek. Jedni byli przy dobrym apetycie, lecz nie wszyscy. Bladziutka panna Emilja jakoś zdawała się dziwnie zamyślona i roztargniona, młody zaś doktor p. Ludwik G. był tak dziwnie nastrojony, że aż p. Z. wykrzykiwał co chwila: „Cóż to doktorze, czy masz przed sobą pacyenta ciężką chorobą złożonego, żeś się tak zamyślił.“ „Coś się stało naszemu doktorowi,“ szeptały sobie dwie panienki, a trzecia co chwila odwracała główkę, niby szukając czegoś, gdy podobne wykrzykniki budziły ją z zamyślenia. Wesoła panna Olimpia dogryzłszy białémi swémi ząbkami ostatnie ciastko, rzekła żywo: Chodźmyż więc! przecież delektować się doskonałością kurcząt i smakowitością ciastek potrafi kto bądź w domu, przy herbacianym stoliku; myśmy jednak nie po to tu przyszli. I podskoczywszy żywo po stroméj ścieżce na dół, całe młode za sobą pociągnęła grono.

Nieco niżéj zródła, idąc w głąb, po prawéj ręce, ktoś, lubownik zimnéj kąpieli zapewne, zrobił rynewkę, i tym sposobem bardzo wygodny utworzył się tusz. Spadając pomiędzy dwa skaliste ramiona, ocieniony gałęziami wrzosu i traw, naturalną tworzył zasłonę. „A to prawdziwe odkrycie,“ wykrzyknał p. O. lubownik takich kąpieli. Lecz nie koniec na tém, p. Olimpia nie spoczywała, zaledwie o kilka kroków od tuszu, ukryta w dzikie zarośla i kwiaty, najprawdziwsza w świecie stała grota.

(C. d. n.)

Ze Lwowa

6 lutego 1877.

Jest to najniezawodniejszą na świecie rzeczą, że kronikarzem potrzeba się urodzić. Spełnić ale zaszczytnie swoje powołanie, to znaczy z całém namaszczeniem świętego spokoju, mieć uszy za dziesięciu a serce zaledwie za jednego człowieka, nie każdy kronikarz jest w stanie. Z pojęciem tém „kronikarz“ łączą często wyrazy liberał, tromtadrata, nicpoń, darmojad; wszystkich jednak tych, którzy tak sądzą, odesłać muszę do encyklopedyi powszechnéj, gdzie znaczenie tego wyrazu dokładnie jest opowiedziane. Co się zaś tyczy znaczenia materjalnego, to kronikarz jest istotą stworzoną także na wzór i podobieństwo Boga, istotą przez jednę część tygodnia, miesiąca lub roku nadzwyczaj potulną i cichą — a tylko w drugiéj części podanych wyżéj okresów przybierającą formy groźne, w chwili gdy swoje pióro umacza w atramencie gorzkiéj prawdy, ironji lub sarkazmu.

Dziś jednak w tém położeniu nie jestem, pióro moje poważnie miękkimi tony odzywać się powinno. Dlaczegoż? spytacie. Oto, bo jestem pod wrażeniem, doznaném na koncercie p. Henryka Wieniawskiego. Nie miejcie mi za złe, że wrażeniem tém z wami się podzielę.

Dnia 5. lutego 1877. w sali ratuszowéj, odbył się ten koncert, najznakomitszego skrzypka w Europie, ze współudziałem p. F. i pani K. W.

Pisać o grze koncertanta? Porównywać go z Wilhelmim, któregośmy zeszłego roku także słyszeli? niepodobieństwem. Za słabe moje pióro, bym mógł odmalować tę każdą partyę po mistrzowsku wykonaną, nieudolne moje pióro, by chwalić to, co samo jest chwałą. Trzeba być, trzeba się wsłuchać i wżyć w tę myśl mistrza niezrównanie oddaną. To téż p. Wieniawskiego po każdéj partyi burza oklasków spotykała, raz nawet zmuszony był zagrać, gdy oklaski nie ustawały, mazurka, prawdopodobnie swéj własnéj kompozycyi.

Gra p. Wieniawskiego jest spokojną, klasyczną, upajającą, a szczęśliwie złożony program, dawał jeszcze większe pole do popisu.

Pani K. W. odśpiewała trzy niemieckie piosenki. Zarzucają jéj to, że obrała tekst niemiecki, mnie się jednak zdaje, że każdy nie dla słów, lecz dla śpiewu i gry spieszy na koncert.

Dziś po raz drugi usłyszymy grę p. Wieniawskiego.

* * *

Bogiem a prawdą przy takiéj niespodziance, jaką nam Szanowny koncertant sprawił, nie mamy co narzekać na karnawał tegoroczny. Że bale, maskarady, nie mają takiego powodzenia jak dawniéj, to nic dziwnego; wszak każdy przyzna żeśmy z dniem każdym biedniejsi; bo czyż nas nie pożéra, lichwa, podatki rządowe, miejskie, czynszowe, ba nawet podatki od psów. I jakżeż tu się wesoło i swobodnie bawić, gdy prawie każdy zaraz po popielcu spodziewa się wizyty nie miléj mu osoby, która w karnawał zwykle na ostęplowanéj ćwiartce najlepsze interesa załatwia.

Koniec końców ale bawić się potrzeba, bo wszakże na to przeznaczony czas od trzech króli do popielca, szukają więc prawie wszyscy zabawy takiéj, któraby najmniéj kosztowała. I dzięki kasynom, frosinom, kółku mieszczańskiemu, namiętne tony walca, i skoczne mazura, dość liczną wabią ilość danserów i danserek. Za to téż bal akademicki i bal muzyczny świecił przerażającémi pustkami.

Do najświetniejszych jednak zabaw zaliczyć potrzeba bal u namiestnika Jego Exl. p. hr. Potockiego.

Około pięćset osób bawiło się wybornie prawie do samego rana. Uprzejmy gospodarz nie szczędził trudów, by gości podjąć jak najświetniéj. A były tam reprezentowane wszystkie warstwy, urzędnicza, wojskowa i mieszczańska. Pomiędzy danserkami, świeciła blaskiem urody córka gospodarza, dając dobry przykład w zabawie. Nie słusznie więc odezwała się jedna część prasy naszéj, że bal ten jak zwykle, wypadł sucho, sztywnie i nudnie.

* * *

Wypadałoby mi jeszcze skoro mówię o karnawale i o balach, wspomnieć o wycieczce techników do Złoczowa i urządzonym tam balu w auli gimnazyalnéj.

Przypominam sobie, że przed trzema czy cztérma laty bal taki akademicki dany był w Stanisławowie. Pamiętam także i to, że powiódł się pod każdym względem, tak co do zabawy jak i dochodu. Była to pierwsza podobna zabawa urządzona przez młodzież naszę akademicką na prowincyi. I na pewne twierdzić można, że dzisiaj tylko na prowincyi urządzony bal akademicki powieść się może. Niechby młodzież nasza każdego roku obrała inne miasto prowincyonalne, niechby zjechała, zabawiła się, a ręczę, że przy pomyślnych rezultatach dla kasy, zostawiła by także i miłe wspomnienie, tak jak dzisiaj w Złoczowie.

I wy w Kołomyi przyjęlibyście chętnie lwowskich akademików, postarajcie się jednak najprzód o salę do tańców, bo téj podobno dotychczas nie macie. **G.**

ROZMAITOŚCI.

— Pan H. Wieniawski najznakomitszy skrzypek w Europie dał szereg koncertów, z których pierwszy odbył się we Lwowie dnia 5. lutego b. r. w sali ratuszowéj, drugi w Stanisławowie dnia 8. b. m., trzeci w Brodach dnia 10 b. m. Prócz tego p. Wieniawski w przejeździe do Węgier da się słyszeć ze znakomitą grą swoją w Przemyślu dnia 15. b. m., w Tarnowie 16. a w Krakowie 18. Dnia 13. b. m. daje koncert w Czerniowcach, w przejeździe zaś z tamtąd do Przemyśla, miasto nasze niema wcale zamiaru odwiedzieć. Czujemy się tém pokrzywdzeni, jednakże od miłośników muzyki zależyć będzie, czy p. Wieniawski program swój zmieni i u nas dzień jeden zabawi lub nie.

— Niedawno dwóch chłopów z Siedmiogrodu doniosło najbliższemu Starostwu o odkryciu skarbów Daryusza. Skarby te składają się z następujących przedmiotów. Na samym wstępie znajdują się dwa charty ulane ze szczerego srebra z szmaragdami w oczach, za niemi dwa lwy ze złota, u których w oczach lśnią rubiny. W niejakiém oddaleniu znajduje się stolec ozdobiony drogiemi kamieniami, na którym siedzi król Daryusz wykonany ze szczerego złota a trzymający w ręku laskę wysadzoną brylantami. W około niego dwanaście osób ulanych ze złota, z tyłu zaś giermek trzyma miecz podniesiony wykuty jednolicie z drogiego kamienia. Za dworem królewskim znajduje się dwór królowéj, składający się z 64 dziewcząt ze złota. Prócz tego znajdujo się w podziemiu 360 beczek złota i srebra, wiele głów dziecięcych ze szczerego złota i drogich kamieni. Wieśniacy ci mieli dotychczas czerpać z tych skarbów, przejęci atoli miłością dla kraju i żądni jego dobrobytu, dają znać o znalezionych skarbach, z tą uwagą, że każdego czasu gotowi są zaprowadzić wysłaną komisyą do podziemia. (Wiadomość tę podajemy z „Dzienika Polsk.“)

— Na urządzenie wystawy gospodarczo-przemysłowéj udzieliło ministerstwo rolnictwa 10000 złr., ministerstwo handlu 1500 złr., dyrekcya jeneralna kolei Karola Ludwika 5000 złr., a p. Ziemiałkowski 100 złr. W ogólności nawet datki od osób prywatnych wpływają dość obficie, co poniekąd może być już zapewnieniem, że wystawa świetnie wypadnie. I nasze gimnazyum bierze także udział w wystawie, wysyłając rysunki uczniów klas niższych do Lwowa.

— Pewien amerykański pastor, który w swojém życiu nigdy kłamstwem się nie splamił, opowiada następujące zdarzenie ze wszech miar wiarogodne: Pewnego pięknego poranku przechadzałem się nad brzegiem jeziora używając świeżego powietrza, gdy w tém uwagę moję zwróciła na siebie ogromna żaba, która wylazłszy z wody wygrzewała się na słońcu. Przypatrując się jéj niepospolitéj wielkości, spostrzegam węża, podsuwającego się chytrze po cichu ku żabie. W jednéj chwili sytuacya się zmienia, wąż rzuca się na żabę, i walka zaczyna wrzeć na dobre. Po kilku atakach udało się wężowi schwycić żabę za nogę, żabie zaś węża za ogon, przyczém wzajemnie poczęli się połykać. Patrzę zdumiony na coraz więcéj malającą objętość żaby i węża, widzę już tylko głowę obydwu stworzeń, gdy w tém wszystko znikło z moich oczu. Żaba i wąż skonsumowały się wzajemnie.

— **Warszawska szkoła handlowa** prywatna, ogłasza konkurs na napisanie podręcznika obejmującego wzory w języku polskim różnych korespondencyj handlowych, zastósowanych do miejscowych stosunków kupieckich, lub zaczerpniętych z praktyki miejscowéj. Rękopisy mają być najdaléj do do dnia 1-go października 1877. r. przesłane do szkoły handlowéj prywatnéj (ulica Nowy świat nr. 40) z dewizą na tytule, która powtórzoną ma być na zapieczętowanéj kopercie zawierającéj wewnątrz imię, nazwisko i adres autora. Nagroda pracy uznanéj przez uproszonych specyalistów za najlepszą wynosi trzysta rubli srebrnych; prócz tego szkoła handlowa wydrukuje rękopism własnym kosztem, a nadto po rozsprzedaniu 900 egzemplarzy na korzyść szkoły, pozostałych z całego nakładu 600 egzemplarzy stanie się własnością autora, który będzie miał również prawo do następnych wydań.

— **O strasźliwym pożarze**, który dnia 29. listopada spustoszył stolicę państwa Japończyków Jeddo, przyczém zgorzał do szczętu gmach legacyi austryackiéj, znajdujemy w dziennikach wiedeńskich następujące bliższe szczegóły: W ciągu sześciu godzin pochłonęły płomienie 15.000 domów w 17 dzielnicach, oraz dwa duże mosty, przyczém wiele ludzi utraciło życie. Korespondent widział wiele strasznych pożarów na Wschodzie, jak n. p. ostatni w Konstantynopolu, lecz dopiero w Jeddo poznał tym razem przerażającą gwałtowność płomieni. Prawda, że właśnie podczas najsilniejszego ognia zerwał się gwałtowny wicher, który rozniósł po mieście pożogę. Rezydent austryacko-węgierski p. Schaeffer, zbudzony o północy alarmem pożarowym, wydał bezzwłocznie dyspozycye co do zabezpieczenia aktów legacyi i najcenniejszych sprzętów, lecz wbrew oczekiwaniu wicher tak szybko przerzucił płomienie na gmach legacyi, iż tylko część rzeczy uratować zdołano. W ciągu pięciu minut gmach ten legł w gruzach, pod któremi uległy zniszczeniu oprócz obrazów olejnych: cenny zbiór porcelany chińskiéj i wyrobów przemysłu japońskiego, biblioteka zawierająca przeszło 1000 dzieł naukowych o Japonii, z największym trudem przez lat 30 zbieranych i całe kosztowne urządzenie domowe pana Schaeffera. Ten ostatni przepędził pierwszą noc po pożarze w powozie, który wyratował z płomieni, własnemi rękami wytoczył go z wozowni. Przypłacił też tę ciężką przygodę kilkudniową słabością w skutek przeziębienia. Obecnie rezydent austro-węgierski mieszka tymczasowo w Pekinie, w domu posła japońskiego. Z szczególniejszém uznaniem wyraża się p. Szaeffer w sprawozdaniu swém z téj katastrofy o rządzie japońskim. Wszyscy ministrowie japońscy odwiedzili go bezpośrednio po katastrofie i wyrazili mu swe szczére współczucie. Ze wszech stron też, zwyczajem japońskim, otrzymał najrozmaitsze upominki, a sam mikado przysłał mu z wyrazem współczucia wspaniały garnitur mebli japońskich, nie zaś jak donoszono poprzednio, tylko 12 krzeseł.

— **Konkurs Lindego.** Sekretaryat generalny krakowskiéj Akademii umiejętności ogłasza: Ponieważ dla uniknienia przewłoki w wypłacie nagrody z fundacyi imienia S. B. Lindego, wynikającéj z niezgodności oznaczonego dla niéj terminu z terminami pełnych posiedzeń Akademii, czcigodna fundatorka, zgodnie z uczynioném sobie przedstawieniem, uznała za stósowne przenieść go na dzień 8. maja, przypadający we dwa tygodnie po rocznicy urodzin ś. p. S. B. Lindego; zatém pragnąc zastósować do tego przyznanie już pierwszéj nagrody, Akademia umiejętności w Krakowie ponawia z odpowiednią zmianą dawniejsze ogłoszenie konkursu w sposób, jak następuje: 1. Przedmiotem konkursu będą prace z zakresu języka polskiego, mogące w jakimbądź względzie służyć za dopełnienie słownika Lindego. 2. Praca téj treści za najlepszą przez Akademię uznana, otrzyma nagrodę w ilości 675 rubli sr. t. j. w kwocie równéj wartości kuponów płatnych w ciągu lat trzech od złożonych w tym celu listów zastawnych miasta Warszawy. 3. Prace treści nadmienionéj, o ile byłyby przedmiotem konkursu, czy to w ciągu ogłoszonego terminu już wydrukowane, czy też w rękopiśmie, winne być Akademii nadesłane najdaléj do końca grudnia r. 1878. 4. Przyznanie nagrody i zawiadomienie o przyznaniu na publiczném posiedzeniu Akademii, nastąpi w pierwszych dniach maja roku 1879., wypłata zaś samaż w dniu 8. tegoż miesiąca, t. j. we dwa tygodnie licząc od rocznicy urodzin S. B. Lindego. 5. Praca uwieńczona zostaje własnością autora, który wszelako, gdyby takowa była już wydrukowaną, winien przed powzięciem nagrody złożyć w Akademii 50 egzemplarzy; w razie przyznania nagrody za pracę nadesłaną w rękopiśmie, autor winien ją bądź sam ogłosić drukiem najdaléj w ciągu jednego roku, bądź zdać to na Akademię. W pierwszym razie autor Akademii, w drugim Akademia złoży pięćdziesiąt egzemplarzy autorowi.

— Widownią sceny niezwykłej był kilka dni temu salon Markiza Lezanni. Markiz wydając córkę za hr. X. sprosił wiele gości dostojnych. W chwili gdy zgromadzeni usiedli do czekolady, gospodarz spostrzegł, że z koszyka, w którym znajdowały się klejnoty jego córki, zginęła para kolców szmaragdowych. Markiz tracąc z żalu i gniewu przytomność, posyła cichaczem po ajentów policyjnych, poczém wszystkich gości kazał zrewidować. Można sobie wyobrazić, jak to się podobało hrabiom, markizom, książętom, a wreszcie kardynałowi Bererdi, który rad nie rad, musiał także pokazać swoje kieszenie. Dziś markiz Lezzani ma być zdesperowany ale ponoś już za późno. Za to niech się tém pocieszy, że wydając drugą córkę, która już dorasta, na uczcie ślubnéj nie będzie miał tłumów i takiego wypadku. Rzecz naturalna, że przy rewizyi nic nie znaleziono.

Treść Nr. I.

Z drukarni M. Biłousa w Kołomyi 1877.